

## powroty

BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI

### Żywe diagnozy Bogdana Madeja

Nazwisko Bogdana Madeja, najwybitniejszego lubelskiego prozaika ubiegłego wieku, utrwała się w historii literatury dzięki dwóm książkom opublikowanym w latach 70. przez Instytut Literacki w Paryżu. To powieść *Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości* (1974) i zbiór opowiadań *Maść na szczury* (1977). Peerelowska cenzura nie dopuściła ich do druku w kraju, więc autor zdecydował się ogłosić je za granicą. Są to książki całkowicie różne. Obie mają wyraźne odniesienie do rzeczywistości PRL-u, ale mechanizmy tego odniesienia funkcjonują w obu przypadkach zupełnie inaczej.

O pierwszej z nich traktuje publikowany obok tekst Bohdana Zadury, napisany w lecie 1981 roku, gdy przygotowywaliśmy do druku ósmy z kolei tom „Akcentu”, periodyku powstałego rok wcześniej na fali demokratycznego entuzjazmu, który – w szerszej skali – doprowadził do Sierpnia 1980. Miał to być numer poświęcony różnym zagadnieniom związanym z odbiciem w literaturze przełomów politycznych w PRL-u (początek stalinizmu w drugiej połowie lat 40., Październik 1956 poprzedzony okresem „odwilży”, Grudzień 1970 poprzedzony Marcem 1968 i wreszcie ów Sierpień, narastający właściwie już od 1976 roku). Przedłużający się proces wydawniczy, co było w tamtych czasach raczej normą niż wyjątkiem, sprawił, że całe to przedsięwzięcie, mające spore szanse powodzenia w atmosferze posierpniowego powiewu wolności słowa, zderzyło się w grudniu z twardą ścianą cenzury stanu wojennego. Okrojony tom ukazał się dopiero jesienią następnego roku jako nr 2/1982<sup>1</sup>. Nie dopuszczono do druku kilku istotnych tekstów: poematu Antoniego Pawlaka dedykowanego Bohdanowi Borsewiczowi, opowiadania Marka Nowakowskiego zatytułowanego *Wyciągnij splotę i postrasz ją trochę* (o pewnym poruczniku nazwiskiem – nomen omen – Gulałka) oraz powierzonych nam przez Bohdana Madeja (za wiedzą paryskiej „Kultury”) fragmentów *Pięknych kalalii* i towarzyszącego im szkicu Bohdana Zadury, który przedstawiamy czytelnikom dopiero teraz (o okolicznościach jego zaginięcia i odnalezienia pisze sam autor w komentarzu do swego tekstu).

Skierowanie do publikacji *Pięknych kalalii* i ich obszernego omówienia nie było jednak pierwszą próbą przełamania izolacji Bohdana Madeja (kreowanej przez władze PRL-u) podjętą przez młodszą część lubelskiego środowiska literackiego, które wraz z młodymi humanistami z obu lubelskich uniwersytetów współtworzyło redagowany przeze mnie kwartalnik. Przez trzy lata poprzedzające powstanie „Akcentu” (1977-1980) pełniłem funkcję przewodniczącego Koła Młodych przy lubelskim oddziale Związku Literatów Polskich. Jesienią

<sup>1</sup> W tzw. stopce wydawniczej na ostatniej stronie tomu czytamy: *Oddano do składania w listopadzie 1981 r. Druk ukończono we wrześniu 1982 r.*

1977 roku postanowiliśmy zorganizować cykl spotkań warsztatowych ze starszymi kolegami po piórze w mającym piękne, przedwojenne tradycje lokalu ZLP przy ul. Granicznej – dawnym mieszkaniu ks. Ludwika Zalewskiego. Jedną z pierwszych osób, które zaprosiłem, był właśnie Bohdan Madej. Bogdan z radością się zgodził, tym bardziej że komunistyczna Służba Bezpieczeństwa starała się za wszelką cenę utrudnić mu publiczne funkcjonowanie<sup>2</sup>. Przeczytał zgromadzonym znakomite opowiadanie *Pan Waclaw* z tomu *Maść na szczury*. Dalej piszę o tym opowiadaniu obszerniej, bo jego treść była dla tamtego czasu wielce znamienita (przed kilkoma laty skomentowałem ją w rozmowie z Tomaszem Kluskim – autorem najlepszego dotychczas, jak sądzę, artykułu poświęconego twórczości Madeja<sup>3</sup>).

Ale zanim doszło do spotkania, otrzymałem telefon od dziekana Wydziału Humanistycznego UMCS. Oświadczył, że podobno zamierzam zorganizować na terenie UMCS (sic!) spotkanie z jakimś Bogdanem Madejem i że został przez Jego Magnificencję Rektora zobowiązany do przekazania mi, że jest jego życzeniem, abym to spotkanie odwołał. Odpowiedziałem odmownie, wyjaśniając przy okazji nieporozumienie co do miejsca planowanego zgromadzenia. W tym samym czasie przekonywano Józefa Ziębę, kierownika Muzeum Literackiego im. J. Czechowicza, który w Zarządzie Lubelskiego Oddziału ZLP był odpowiedzialny za współpracę z Kołem Młodych, żeby skłonił nas do odwołania spotkania. Józef Zięba poinformował mnie o tym, ale do niczego skłaniać nie próbował. Spotkanie, z udziałem kilkudziesięciu osób, bardzo się udało; lekturze towarzyszyła żywa, interesująca dyskusja. Kilka dni później w gabinecie szefa Zakładu Literatury Współczesnej, gdzie od niedawna pracowałem, pojawił się pan dziekan Tadeusz Łoposzko, żeby osobiście przeprosić mnie w imieniu rektora za tamten telefon: „Pan rektor został wprowadzony w błąd” – oświadczył dziekan. Ta historia znakomicie ilustruje, jak ówczesna Służba Bezpieczeństwa, uciekając się do dezinformacji i prób zastraszenia, starała się izolować niewygodnych dla niej ludzi kultury. W sumie – raczej skutecznie, bo to spotkanie autorskie było chyba jedynym oficjalnym, jakie Bogdan odbył w ciągu tych kilku lat przed Sierpniem.

*Maść na szczury* przywiozłem z Paryża do Lublina, wraz z *Kosmosem* Gombrowicza i kilkoma innymi książkami, w ciężkim plecaku, gdy – korzystając z wydanej jeszcze przez Almatu międzynarodowej legitymacji studenckiej – wybrałem się z dwoma przyjaciółmi w niezapomnianą podróż autostopem do Francji (drogą przez Niemcy, gdzie przez miesiąc w Studentische Selbsthilfe – studenckiej spółdzielni pracy – zarabialiśmy na dalszą wędrówkę).

To książka w dorobku Bogdana Madeja najważniejsza, wysoko oceniana przez krytyków (gdy już można było w kraju o niej pisać), niektóre ze składających się na nią opowiadań zostały sfilmowane<sup>4</sup> lub z dobrym skutkiem zaadaptowane na scenę<sup>5</sup>. Przyjrzyjmy się im bliżej.

*Pan Waclaw* to opowieść z pozoru „katedralna”. Osoba z zawodowo-towarzystwiskich kręgów inteligenckich (dokładniej: akademickich, dziś powiedzielibyśmy – „wykształciuchów”) pada ofiarą agresji rzezimieszka, który okazuje się podopiecznym Pana Waclawa, „opiekującego” się jakąś częścią środowiska prze-

<sup>2</sup> Historię tę przypomniał Łukasz Marcińczak w artykule *Lubelski Akcent* („As UMCS” 2004, nr 3/12).

<sup>3</sup> T. Klusek: *Przeznaczenie i bunt. Rzecz o pisarstwie Bogdana Madeja*. „Akcent” 2017, nr 1, ss. 19-30.

<sup>4</sup> Przykład: *Pan Waclaw* w reżyserii Pawła Unruga (Poltel 1985) ze znakomitym Romanem Wilhelmem w roli tytułowej lub zrealizowany rok później przez tego samego reżysera *Kurs na lewo*, również w doborowej obsadzie aktorskiej.

<sup>5</sup> Przykład: *List z Ameryki*, Teatr im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku (na podstawie opowiadania Bogdana Madeja *Pochówek*). Reżyseria, adaptacja i aranżacja przestrzeni scenicznej – Andrzej Jakimiec. Premiera 11 czerwca 1988 roku.



Bogdan Madej, 1998 rok.  
Fot. Adam Kulik

stępczego. Poszkodowany liczy na lojalność swych akademickich przyjaciół przy egzekwowaniu sprawiedliwości (mówiąc inaczej: przy obronie etycznych podstaw współzycia społecznego). Ale Pan Waclaw doprowadza do izolacji pokrzywdzonego, który w rezultacie rezygnuje z dochodzenia sprawiedliwości. To opowiadanie jest niezwykle nośną metaforą również dzisiaj, nie tylko w PRL-owskim kontekście, ale w tamtym czasie aktualizowało się szczególnie. Największym bowiem zagrożeniem dla systemu komunistycznego była społeczna solidarność<sup>6</sup> (potwierdził to dobitnie rok 1980). Dyrektywa każdej dyktatorskiej władzy: „dziel i rządź”, to podstawowa zasada działania policji politycznej. *Pan Waclaw* ukazuje lepiej niż jakiegokolwiek studium socjologiczne, jak można ludzką solidarność skutecznie rozbić za pomocą trzech podstawowych metod, którymi posługiwały się służby państwa totalitarnego: ideowego wmówienia opartego na doktrynerstwie<sup>7</sup>, przekupstwa<sup>8</sup> i zastraszenia (którego szczególną odmianą jest szantaż)<sup>9</sup>.

Zupełnie inny charakter ma opowiadanie *Głęboką nocą. Walc*. To obraz apokalipsy, która spełnia się w głęboko prowincjonalnym świecie, w czasie wiejskiej zabawy. W konstrukcji i w tempie przekształceń sytuacji fabularnej znamionuje ten utwór iście gombrowiczowska dynamika połączona z głęboką, wielowarstwową stylizacją językową. Narratorem jest dotknięty kalectwem Parchaty, zepchnięty, jak kilku jemu podobnych, na margines wiejskiej społeczności, w rzeczywistości cwany i konsekwentny w realizacji własnego planu, sprytnie manipulujący innymi i zdobywający w efekcie pieniądze i seksualne spełnienie. Jego język, podobnie jak język dialogów, cechują skondensowane właściwości mowy chłopskiej, tak jak ją słyszy Bogdan Madej. Dodatkowo w stylu nieszczęśnika prowadzącego narrację ujawniają się psychiczne konsekwencje jego szczególnego, podrzędnego statusu w wioskowej gromadzie. Tomasz Kłusek dostrzega w tym opowiadaniu ducha faulknierowskiego, zestawiając je z *Azylem* i *Światłością w sierpniu*<sup>10</sup>.

Stylizacja językowa, oparta na doskonałym odsłuchaniu mowy chłopskiej PRL-u w latach 60., odgrywa istotną rolę również w opowiadaniach *Podkowy* i *Pochówek*. To drugie jest bodaj jedynym z tomu *Maść na szczury*, które miało krajowy pierwodruk przed paryską edycją książki („Twórczość” 1975, nr 6). Oto w pewnej wsi powstaje samowwający społeczny komitet budowy domu, który – zdaniem komitetu – powinien sobie wznieść bohater opowiadania, by mogła z nim zamieszkać jego ciotka po powrocie z USA. To twór wzorowany na różnych fasadowych instytucjach „samorządowych” PRL-u<sup>11</sup>. Działania

<sup>6</sup> *Zasada ta to solidarność. Tamci (...) będą chcieli być solidarni. To trzeba im coś między drzwi wsadzić, żeby nie chciały się domykać* – mówi Rotszyld, jeden „przybocznych” Pana Waclawa (B. Madej: *Maść na szczury*. Paryż 1974, s. 65).

<sup>7</sup> *Ja przeciw prawdzie obiektywnej nie wystąpię* – oświadcza przekonany przez Pana Waclawa „magister” (tamże, s. 72).

<sup>8</sup> *Mój samochód (...) bardzo nie lubi cierpieć z powodów doktrynalnych. On chce mieć pompę olejową tam, gdzie trzeba* – „doktor” chętnie przyjmuje łapówkę w postaci trudno dostępnej części do samochodu (tamże, s. 77).

<sup>9</sup> *Z powodów osobistych i zawodowych nie powinienem narażać się na osławienie* – ulega „docent” szantażystom, gdy grożą mu kompromitacją (tamże, s. 81).

<sup>10</sup> T. Kłusek: *Przeznaczenie...*, dz. cyt., s. 29.

<sup>11</sup> *Odpowiedzialność my na siebie wielką, bardzo wielką całym komitetem przyjęli, brzemień bardzo*

tego komitetu zmirzają do całkowitego zniewolenia bohatera, chłopca żyjącego bardziej niż skromnie, ale dotychczas niezależnego (wyzbytego nawet materialnych ambicji, jeśli miałyby mocno przerastać jego status ekonomiczny). Opresyjna sytuacja staje się dla niego groźna także pod względem etycznym. „Testament” amerykańskiej ciotki w pewnym sensie zwraca mu wolność: wspólne nieświadome spożycie prochów zmarłej z urny, którą wzięto za puszkę kawy, powoduje rozpad owego komitetu.

Natomiast opowiadanie tytułowe z *Maści na szczury* ukazuje dwa modele biografii obywateli PRL-u – jeden wirtualny, wyobrażony, stworzony w sferze osobistej mitologii, drugi rzeczywisty. Uosabiają je, co symboliczne, dwaj rodzeni bracia.

Pierwszy z tych modeli określić można jako szlachecko-inteligencko-urzędniczy: pradziadek – powstaniec styczniowy, który zginął, a jego żona z synem cierpieli na zesłaniu; dziadek – notariusz, solidny i uczciwy; ojciec – tchórzliwy urzędnik, dojrzewający już po wojnie. Ojciec zaraża syna swoją „szarością” (oportunizmem czy nawet konformizmem). Taki mężczyzna miałby być ofiarą powojennego „przełamania systemów”, cechuje go lęk przed podjęciem jakiegokolwiek w pełni samodzielnej decyzji<sup>12</sup>. Próba przewyciężenia tego lęku, rzekomo w imię tradycji reprezentowanej przez pradziadka i dziadka, nie może się udać, bowiem syn potrzebuje „reguł”, dyrektyw – bez nich jest bezradny<sup>13</sup>.

Model drugi, oparty nie na automystyfikacji, lecz wywiedziony z rzeczywistości: pradziadek – „chłop pańszczyźniany”; dziadek – też chłop, ale już „na swoim”; ojciec – również chłop, „hardy”, z zasadami: „nie lubi karku zginać i trzyma się swego prawa”. Syn – chłop z wykształceniem uzyskanym po wojnie w Wyższej Szkole Rolniczej – wyraźnie tę hardość szanuje: *Ojciec (...) nie uznaje urzędowych autorytetów. Dla niego autorytet to uczciwość i akuratność w robocie. Jak wie, co mu się należy, to się nikogo nie boi, i przez to ma kłopoty*<sup>14</sup>. Nietrudno rozstrzygnąć, która biografia stwarza szanse na odrodzenie zniszczonej przez wojnę tkanki społecznej w Polsce.

Proza Bogdana Madeja zasługuje ciągle na dalsze opracowania literaturoznawcze. Warte osobnego prześledzenia są na przykład odniesienia biblijne, w tym motyw grzechu – Adam i Ewa w *Pięknych kalaliach*, świętokradztwo w *Pochówku* (naruszenie tabu poprzez spożycie prochów nieboszczki) – a także inspiracje faulknerowskie, na które przekonująco wskazuje w przywoływanym wcześniej szkicu Tomasz Kłusek. Ale centralnym zagadnieniem, zarówno w tomie opowiadań *Maść na szczury*, jak w powieści *Piękne kalalie*, są relacje między jednostką a środowiskiem społecznym. Chodzi o reguły rządzące funkcjonowaniem grupy społecznej, ale także społeczeństwa jako całości, w skali państwa. To była główna przyczyna irytacji komunistycznych decydentów niedopuszczających tych książek do obiegu.

Bogusław Wróblewski

---

wielkie. Dlatego my mamy wszystkie – powiada do tych swoich przyprowadzonych – być ze wszystkiego zadowolone i nasza wieś tak samo, żeby my jej zaszczytu przysporzyli dobrego, z podjętych zobowiązań się wywiązali bez kar żadnych i bez jakich nieprawidłowości. Kontrolować – powiada – będzie się tutaj wszystko. Nadużyć żadnych tolerować nie będzie (...). Sprzeciwu żadnego ma tak samo nie być, bo to dla dobra ogólnego! (B. Madej: *Maść...*, ss. 107-108).

<sup>12</sup> Pradziadek, cichy, zapomniany bohater narodowy, dziadek tak samo niegłośny, bo dla siebie tylko, ale człowiek honoru, nieprzekupny, stały w swoich przekonaniach. Tylko ojciec się wyrodził. (...) Ofiara przełamania systemów. Zmiana perspektywy politycznej tak go przeorała. Tam, gdzie u niego była bruzda, chcieli wyorać skibę i się wszystko w nim przewracało. Zabrakło w jego głębie materiału na ten jeden pokład (tamże, s. 190).

<sup>13</sup> *Boję się. To fakt. Jak się mam nie bać, jak ja nic pewnego nie wiem, nie mogę się dowiedzieć, co mi grozi, reguł nie znam, ani niczego. Nie mogę się zabezpieczyć przed niczym, nie mam jak sobie odważyć dodać* (tamże, s. 196).

<sup>14</sup> Tamże, s. 194.

## Niedozwolone takie niepisanie<sup>1</sup>

MADAJ Bogdan (ur. 28 XI 1934 w Mikaszewiczach k. Łunińca na Polesiu) – prozaik. Debiutował jako autor opowiadań publikowanych na łamach prasy w 1958. Wydał m.in. „Młodzi dorośli ludzie”, opow., 1964; „Uczta”, pow., 1965; „Konstelacja”, pow., 1968.

– Twórczość M. jest obrazem rzeczywistości widzianej z perspektywy bohaterów, poprzez pryzmat ich osobistych przeżyć związanych z ostatnią wojną i okresem powojennym. Można je zarazem traktować jako wykładnię ogólniejszych dążeń ludzkich, przemian społecznych i obyczajowych, problemów moralnych, które rozwiązuje jednostka, będąca jednak integralnym elementem społeczeństwa. Tyle *Mały słownik pisarzy polskich*, cz. II, Wiedza Powszechna, Warszawa 1981 (oddano do składania 6 XI 1979, druk ukończono w marcu 1981).

Rozszyfrujemy to „m.in.”, jako że swą pozycję pisarską Bogdan Madej zawdzięcza w znacznej mierze książkom, których *Słownik* nie wymienia – *Pięknym kalaliom albo dojrzewaniu miłości* (Paryż 1974) i *Maści na szczury* (Paryż 1977). Tom opowiadań *Maść na szczury* ukaże się nakładem „Czytelnika”, chyba że historia by się powtórzyła<sup>2</sup>, a powieść *Piękne kalalie* miał przed dziesięcioma laty wydać PIW<sup>3</sup>.

Została z tamtej edycji korekta autorska, widomy znak, jak daleko zaawansowany był już proces wydawniczy; z tych luźnych, jednostronnie zadrukowanych kartek korzystałem, przypominając sobie *Piękne kalalie* przed pisaniem tego tekstu. Daleki jestem od tego, żeby uważać, że to, iż *Piękne kalalie* nie mogły ukazać się w Polsce, a wydane zostały przez Instytut Literacki, wyszło Madejowi na dobre – nie ulega jednak kwestii, że owoce zakazane mają szczególną siłę przyciągania. *Piękne kalalie* skazane na krążenie w nieoficjalnym, węższym obiegu – zyskiwały z pewnością głośniejszy rezonans. Ich lektura w połowie lat 70. była dla mnie sporym przeżyciem, przeżyciem krzepiącym, chociaż nie była to powieść ku pokrzepieniu serc pisana, aczkolwiek bez wątpienia powstała z potrzeby serca albo umysłu.

Była to książka pomagająca nie dać się zwariować. Nie zwariować było trudno i nie zmienia tego fakt, iż udało się to wielu; ostatecznie z tego, że miliardom ludzi udało się umrzeć, nie wynika, że umieranie jest łatwe. „Nie dać się zwariować” – brzmi to dość niejasno, a sprowadza się do tego, aby wierzyć świadectwom swych zmysłów: oczu, uszu, dotyku, wierzyć doświadczeniu

<sup>1</sup> Ten tekst napisałem, o ile pamiętam, latem 1981 roku. Miał się on ukazać w „Akcencie”, w numerze oznaczonym początkowo jako czwarty z tegoż roku. Numer był zredagowany, złamany, na etapie korekt, ale spotkał go podobny los jak w PIW-ie książkę, której poświęcone było moje omówienie. Szczotki tego pokiereszowanego przez cenzurę numeru gdzieś prawdopodobnie istnieją, ale kolegom z redakcji nie udało się ich odnaleźć; ja, przygotowując swoje teksty do dzieł zebranych, które wyszły w 2007 roku, przeorałem się przez domowe szpargały, ale z zerowym rezultatem. I oto gdy dawno już uznałem tę rzecz za absolutnie straconą, szukając czegoś innego, zajrzałem do teczki z napisem „Recenzje wewnętrzne” i o dziwo trafiłem na osiem pozólkłych kartek spiętych zszywaczem. Przeczytałem bez poczucia wstydu, ze zdziwieniem, że w pewien dotkliwy sposób „niedozwolone takie niepisanie” znów jest aktualne, może nawet bardziej niż 40 lat temu. Dla porządku chciałbym dodać, że pierwsze krajowe wydanie *Pięknych kalalii* ukazało się w 2001 roku w Wydawnictwie Literackim w Krakowie.

Mógłbym powiedzieć, że po 42 latach ten tekst, ukazując się w „Akcencie”, wraca do domu. To, że dzieje się to 21 lat po śmierci Bogdana Madeja, to czysty przypadek. Ten jeden z najwybitniejszych prozaików związanych z Lublinem zmarł 3 października 2002 roku.

<sup>2</sup> Dziś wiemy, że „Czytelnik” faktycznie opublikował pierwsze krajowe wydanie *Maści na szczury* w 1983 roku [przyp. red.].

<sup>3</sup> Przypomnijmy – *Piękne kalalie* ukazały się w Polsce dopiero w roku 2001 nakładem Wydawnictwa Literackiego [przyp. red.].

i pamięci. Jest przecież sporo racji w stwierdzeniu, że kłamstwo powtarzane dostatecznie często zaczyna funkcjonować jako prawda – tam, gdzie możemy, sami to potwierdzamy. Pokusa pychy jest pewnie pokusą niewinną w porównaniu z pokusą uczestnictwa; luksus posiadania własnego zdania mniej jest atrakcyjny niż komfort zgody z opinią. Potrzeba afirmacji i akceptacji nie jest zapewne – nawet u poetów – słabsza niżli potrzeba buntu. Czy możliwa była w Polsce na przełomie lat 60. i 70. realistyczna powieść? Pytanie jest retoryczne, choć ileż apeli o taką powieść się pojawiło! Gdy się ma pewne doświadczenie życiowe i literackie, można kwitować takie wezwania wzruszeniem ramion, ale na Boga, to doświadczenie to jest coś, co trzeba zdobyć, młodość jest ufna i bywa prostolinijna. Czemu o tym piszę?

Bo w czasach, gdy żadnego doświadczenia nie miałem, moim marzeniem była właśnie realistyczna powieść, zwyczajna realistyczna powieść, i bliskie mi było przekonanie o społecznych obowiązkach literatury. Jeśli jednak okazywało się, że owe apele są to wolne żarty, to nie należało dawać się nabierać. Jeśli toczyła się gra, głupotą byłoby odkrywanie kart. Nie dać się zwariować i nie kłamać – zapewne niezbyt to wiele jak na program literacki. Ale trudno – wybieram uniwersalizm, literaturę jako sztukę pięknego pisania; zarzuty o defetyzm, eskapizm i estetyzm – jeśli formułowane są przez krytyka X – odbieram jako komplement. Wszystko znaczy co innego...

W 1969 roku pisałem o *Popiele i diamencie* szalenie przejęty. Był to pierwszy tekst o Andrzejewskim, jaki miał się ukazać od czasu jego listu otwartego. Tygodnik „Kultura” drukował cykl omówień pod hasłem „Książki XXV-lecia” i była to formuła, w której powieść Andrzejewskiego zmieścić się musiała. Napisałem kilkanaście stroniczek ze świadomością, że trudno wymyślić coś nowego na ten temat; z jednej rzeczy byłem wszakże dość dumny – z porównania *Popiołu i diamentu* z *Przedwiośniem*; wydawało mi się, że analogie między miejscem obu książek w dorobku dwu pisarzy, ich rolą w kształtowaniu świadomości zbiorowej, analogie dotyczące nawet pewnych słabości artystycznych są wyraźne, a równocześnie nie zetknąłem się z żadnym tekstem, który by je wyprowadzał. Szkic się ukazał – okrojony o tę część, w której porównywałem Andrzejewskiego z Żeromskim. Udawać, że *Popiół i diament* nie został napisany, nie było można, ale porównywać Andrzejewskiego z Żeromskim to już było zbyt wiele. Ostatecznie można by przejść nad tym do porządku, gdyby nie argumentacja ówczesnego redaktora naczelnego: porównywanie *Popiołu i diamentu* do *Przedwiośnia* nie ma żadnego sensu choćby dlatego, że powieść Żeromskiego powstała w niepodległej Polsce. Podobno de mortuis nil nisi bene, ale o czym tu w ogóle rozmawiać, o czym? Po co te wspominki? Nie są próbą oskarżenia kogoś ani usprawiedliwiania siebie, raczej mają być próbą zrozumienia faktu, że czytając *Piękne kalalie* dwukrotnie, w odstępie kilkuletnim, odniosłem wrażenie, jakbym czytał dwie różne książki. W pierwszej lekturze odbierałem je jak powieść realistyczną, co więcej – powieść z kluczem.

Oto Miasto, gdzie wprowadzono zakaz jedzenia jabłek, bowiem uchwalono program wyhodowania kalalii, owoców zupełnie nowych, przewyższających pod każdym względem jabłka. Kalaliom podporządkowane jest wszystko. Dominującą siłą w Mieście stanowi zbrojne w sekatory ogrodnictwo. Jabłonie rosnące w Mieście pozbawiane są kwiatów i zawiązków, na drzewach wiszą atrapy – szklane kalalie. Oczywiście, smak jabłek znany jest mieszkańcom Miasta; jabłka – najbardziej upragniony artykuł – przemycane są z okolicznych wsi, karą za ich jedzenie lub handel nimi jest przymusowa praca przy malowaniu sztucznych kalalii. W Mieście kwitnie korupcja, podejrzliwość, szerzą się plotki. Część mieszkańców nie wierzy, że kalalie zostaną kiedykolwiek wyhodowane, niektórzy sądzą, że to już się stało, lecz utrzymywane jest

w tajemnicy – jedzą je tylko najwyżsi dostojnicy Zarządu Miejskiego. I oto któregoś dnia na jednym z placów staje brodac z tablicą. Gromadzą się gapie.

Tablica jest pusta, nie ma na niej żadnego hasła – to wprawia władze w tym większe zakłopotanie. „Niedozwolone takie niepisanie” – powiada jeden z ogrodników. Demonstrantom usiłującym przemaszerować ulicami Miasta zagradzają drogę ogrodnicy. Sytuacja się zaostrza.

Zapada decyzja o organizacji wiecu z udziałem Prezesa Zarządu Miejskiego. Na tym wiecu następuje zmiana na stanowisku Prezesa, przewrót pałacowy, gabinetowy zamach stanu. Brodac, który niósł tablicę, niknie uprowadzony przez ogrodników. Nowy Prezes ogłasza dzień wolny od pracy; zapowiada, że na każdym drzewie będzie wisiała jedna tylko sztuczna kalalia zamiast dotychczasowych dwóch. Festyn, piwo z beczek, orkiestra z megafonów. Wszystko wróci do poprzedniego stanu, tylko Marek straci ochotę na jabłka: gdy Ewa go poczęstuje, tym razem nic nie chcąc w zamian, on odpowie, że zbyt długo czekał.

Jak to się stało, że odbierałem powieść Madeja jako powieść o Marcu 68? O Grudniu 1970? Późną wiosną 1968 roku po jakimś wieczorze autorskim w „Dziekance” poszliśmy w piątkę do „Bristolu”. Tak zwana „górką” była nieczynna, usiedliśmy więc na dużej sali, gdzie było całkiem luźno. Po chwili zjawiła się kelnerka i głosem niedopuszczającym sprzeciwu zażądała, aby jeden z nas opuścił stolik. „Nie będę z panami dyskutować, jest zarządzenie, że przy jednym stoliku mogą siedzieć najwyżej cztery osoby”. Z perspektywy kilkunastu lat wygląda to na anegdotę, ale wówczas nie było wcale takie zabawne.

U Madeja: „Więcej jak dwóch zmawiać się nie wolno, bo zakłócenie porządku może nastąpić!” – ostrzegał ogrodnik. „Chcą wiecu, będą mieli wiec” – mówi Prezes Miejskiego Zarządu, i kiedy czytam te słowa, przypomina mi się rektor Turski, wskakujący na murek w sześćdziesiątym trzecim roku. „Chciecie wiecu, będziecie mieli wiec. W praworządym państwie wszystko można załatwić praworządnie, wybierzcie przedstawicieli. Ustalimy termin”. I znów widzę jak z pewnym ociąganiem, lecz przecież rozchodzą się wszyscy, dziedziniec uniwersytetu pustoszeje. Ta pamięć pozwoliła mi 8 marca 1968 roku stać od 12-tej do 14-tej pod pałacem Kazimierzowskim i spokojnie pojechać do Puław w przeświadczeniu, że nic się nie wydarzy. Jeśli Marzec był dla mnie wydarzeniem bolesnym, to nie dlatego, że bito, że wyrzucano z uniwersytetów, że prasa kłamała, że można się było udławić bezsilną wiedzą naocznego świadka, ale dlatego, że dowodził niemożności rozsądnego zaakceptowania rzeczywistości. Powiedzmy, że czułem się członkiem pokolenia, którego wyjątkowość miała polegać na tym, że przyszło mu żyć jakby w próżni, kiedy coś się skończyło, coś jeszcze nie zaczęło. Marzec ukazywał, że w sporze między dwoma światami – mimo najlepszych intencji, aby wpisać się w rzeczywistość, zaafirmować ją, uznać za swoją, siłę z niej czerpać, uprzedzenia ojców odrzucić, z żywymi naprzód iść – nie jest się żadnym mediatorem, jest się tylko stroną. Jeśli, przez czas jakiś czekaliśmy na „wielkie zdarzenie”, jak pisał jeden z poetów, no tośmy je mieli. Ale też go jakby nie było. Mniejsza o interpretacje – na nieistnienie skazywano fakty.

Czyż więc mogę się sobie dziwić, że *Piękne kalalie* czytałem jako powieść o konkretnych wydarzeniach w konkretnym kraju? To, że Marek, chłopiec, dziecko prawie, był synem Prezesa i kroczył obok brodacza, że wybrano go jako negocjatora do rozmów z ogrodnikami, gdy zagroździł drogę pochodowi, czyż to nie korespondowało z wersją, w myśl której duszą studenckiego buntu byli synowie ludzi wchodzących w skład elity władzy? Czy stosunki na linii Prezes – szef ogrodnictwa nie odpowiadały powszechnej dość opinii o dezorientacji osoby numer jeden? Wreszcie, czy ten pesymistyczny finał powieści

Madeja nie odzwierciedlał nastrojów po Grudniu? Moich nastrojów. Bo miarą wiarygodności i głębi przemian było między innymi to, czy słyszalna się stanie prawda o roku 68. Nie stała się, te wątpliwości zostały rozwiane bardzo szybko. I kolejnego miesiąca zaczęło brakować w kalendarzu. Tytuł cyklu wierszy „Z oktostychów grudniowych” w coś godził. „Z oktostychów zimowych” już nie. Pisarz marzący o powieści realistycznej mógł się zajmować przemytem na drobną skalę. Liberalne lata 70. To też były lata psychicznych nabołałości i urazów, które po Marcu – nawet jeśli się osobiście żadnych obrażeń nie poniosło – zostały. Choćby strata zaufania do poczty, zwrot „to nie jest rozmowa na telefon”, wyjałowienie epistolografii. Nieufność.

Jednym z głównych budynków Miasta z *Pięknych kalalii* jest Muzeum kalalii, muzeum czegoś, co ma dopiero być. Oto jeden z absurdów Miasta. Byłoby to zabawne, gdyby nie (znowu, znowu) odniesienia do rzeczywistości. Oto gazeta po raz drugi organizuje swoje święto i jakiś pismak zachłystuje się entuzjazmem: „Tradycyjnie już nasi czytelnicy spotykają się...”

Może ta kwestia wydawała mi się w trakcie pierwszej lektury najistotniejsza w książce Madeja – ukazanie deprawacji języka, zakłamania pojęć, odebrania słowom ich znaczenia. Wykpienie czegoś, co w swoim czasie nosiło nazwę mowy trawy, by później zyskać miano nowomowy.

*Piękne kalalie* czytane po Sierpniu 80 są inną powieścią. Na drugi plan jakby usuwa się ich demaskatorski charakter. Teraz już by nie przyszło mi do głowy, że jest to książka realistyczna. Wobec tego, co zostało powiedziane wprost, *Piękne kalalie* wracają do swej przyrodzonej – jeśli tak można powiedzieć – formy. Stają się powieścią właśnie, dziełem literackiej fikcji, wyraźniej widać teraz ich powieściowy charakter, artystyczne blaski i słabości tej antyutopii. Mimo wszelkich skojarzeń nie jest to książka o konkretnych wydarzeniach, nie mówiąc już o kluczu. Jest to książka opisująca pewien proces czy mechanizm i wszystkie postaci w niej występujące sprowadzone są do ról, które ten proces im narzuca. Czy od takiej, metodami groteski posługującej się powieści wymagać można pogłębionych psychologicznie postaci, plastycznych krajobrazów, malarskości, subtelności? Czytając powtórnie *Piękne kalalie*, odnoszę wrażenie, że jest to powieść „chuda” (nie w sensie objętościowym), czuję jakiś niedosyt prozatorskiego mięsa czy ciała, prozatorskiej materii. Ironiczna i abstrakcyjna, ze znakomitymi scenami, zawiera jakby nazbyt wiele miejsc pustych, które – gdy braknie już klimatu konspiracji przy jej lekturze, gdy nie tylko można ją przeczytać, ale i o niej napisać – nie chcą konkretyzować się w odbiorze. I widać pewne jej niekonsekwencje, szanse nie do końca wykorzystane, pomysły nie do końca doprowadzone. To, że bohaterka nosi imię Ewa, jest czytelną aluzją do Starego Testamentu, ale nawiązanie to, zasugerowane już w początkach powieści, nie jest prowadzone z wystarczającą konsekwencją. Mało jest w tej powieści ludzi i owo tytułowe „dojrzewanie miłości” w dużej mierze pozostaje zapowiedzią niespełnioną. Gdyby książka Madeja wyszła wtedy, kiedy wyjść miała...

Teraz w znacznej mierze posiada wartość dokumentu epoki, jej wpływ na kształtowanie świadomości społecznej z pewnością byłby już nieporównanie mniejszy, świadomość ta bowiem objawiła się z siłą bez porównania większą i dojralszą, niż przewidywać to mógł Madej w swej wizji, gdy tworzył postać głupiego Franka. *Piękne kalalie* nie są arcydziełem, ale są jedną z tych książek, które – jak pisał Norwid – ukazują się za późno. Nie ukazały się w swoim czasie zapewne w myśl zasady: uderz w stół, a nożyce się odezwą. Ci, którzy wstrzymali druk, mieli takie wyobrażenie o Polsce jak Madej o swym powieściowym Mieście.



Jeśli nie czekają nas czasy, w których okaże się, że wina za trudności gospodarcze spada na Tadeusza Konwickiego – on to przecież w *Małej apokalipsie* opisał kolejki tak rozbudowane czasoprzestrzenie, że nie śniły się nam w snach najczarniejszych – *Piękne kalalie*, choćby nawet tylko jako dokument pewnego czasu, powinny znaleźć się na półkach księgarskich.

[1981]

*Bohdan Zadura*

Bogdan Madej: *Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości*. Paryż 1974.

